

## VII

Wiosna 1943 roku przeszła we wczesne lato i w tym czasie przydzielono mi pracę w ogródku. Ktoś inny, prawdopodobnie siostry i starsze dziewczynki, założył już wcześniej ogródek warzywny i teraz trzeba było pielnić i okopywać grządki. Klęczałam zatem pomiędzy zagonami i wdychałam zapach ziemi, a słońce opalało mi plecy i czoło.

Na świeżym powietrzu, w ogródku, pochylona nad ciemną ziemią, ostrożnie wrywając chwasty, z brudnymi kolanami i rękami, wśród silnych woni bijących z gleby po każdym wyrwaniu roślinek z korzeniami, oszołomiona pracowałam bez pamięci. Każde źdźbło, każda roślina, każdy chwast był dla mnie cudem natury; zachwycałam się najdrobniejszymi kwiatuśkami, zarówno roślin, jak i chwastów, i przez długie chwile czułam, jak przepelnia mnie radość i szczęście. Słońce, robaczki, zapachy, pulsująca życiem cisza wokół mnie – wszystko zdawało się wieczne i byłabym rada pozostać na kolanach i okopywać te grządki już na zawsze. Popadałam w upojny stan cichej euforii i wdzięczności za to, że teraz istniało tylko ciepłe słońce i błękitne niebo, które odsuwało ode mnie inne, ponure obrazy.

Minęły tygodnie, lato było coraz bardziej gorące i do moich ogrodowych obowiązków doszło teraz zbiera-

---

ALICE COLEMAN SCHELLING

nie dojrzałych owoców. Pamiętam zwłaszcza zrywanie agrestu z wielkich krzaków. Już same owoce były piękne: nieco wydłużone, zielone, z kropkami podobnymi do oczek kotka albo dziwnych, rzadko spotykanych koralików. Trochę podjadałam, ale nie za dużo, bo owoce miały ostry i kwaskowaty smak, niemniej jednak były dość słodkie, by mnie skusić. Gdyby mi powiedziano wcześniej, że nie wolno jeść zrywanych owoców, to już wkrótce miałabym prawo pomyśleć, że gniew Boży szybko dosięga grzeszników, i to szybciej niż w innych wypadkach, kiedy popełniałam jakieś ciężkie grzechy...

Z moim żołądkiem zaczęło się dziać coś dziwnego. Nie było to na tyle poważne, by komuś o tym mówić, niemniej jednak moje wizyty w ubikacji stały się częstsze. Ostatecznie pewnego dnia musiałam tam siedzieć tak długo, że sama się zaniepokoiłam. Wraz z tym niepokojem narastało poczucie, że dzieje się ze mną coś nienormalnego. Nieśmiało sięgnęłam ręką pod siebie i wyczułam coś płaskiego, nie, nie płaskiego, coś śliskiego, ale twardego i niepodobnego w dotyku do niczego, co do tej pory znałam. Z mojego ciała wydobywało się coś obcego, coś rodem z opowieści z dreszczykiem, a nie z mojego świata i nie moje. Impulsywnie, próbując pozbyć się tego czegoś, pociągnęłam. I jeszcze raz. Usłyszałam plusk. Obróciłam się z trwogą i zobaczyłam skręcony w nieregularną ósemkę, białawy, żółtawy i zielonkawy kształt, coś niezupełnie takiego jak wąż, ale wiele razy dłuższego i większego niż glisty, które widywałam w ogródku. Wpadłam w panikę. Wybiegając z toalety, poślizgnęłam się i upadłam na plecy. Z sąsiedniej kabiny akurat wychodziła jakaś dziewczynka. Nie byłam w stanie wykrztusić jednego słowa. Upadek i przerażenie zaparły mi dech w piersiach, ale po kilku chwilach malujący się na mojej twarzy strach i rozpaczliwe gesty były na tyle wymowne, że ta dziewczynka popatrzy-

ła do mojej kabiny, a potem na mnie z lękiem i odrazą. Po jakimś czasie udało mi się ją poprosić, by zawołała siostrę dyżurną, podczas gdy ja sama będę pilnowała wiadomych dowodów.

Powoli stanęłam na nogi. Chciałam popatrzeć na to raz jeszcze, ale nie mogłam się zmusić. Bałam się, że to zniknie i wówczas nikt mi nie uwierzy. Wkrótce nadeszła zakonnica, jak zawsze spokojna i opanowana. Spojrzała, kiwnęła głową i pociągnęła łańcuszek spłuczki. Kazała mi pójść ze sobą. Albo wtedy, albo niedługo potem, od niej albo od kogoś innego dowiedziałam się, że to był tasemiec. I albo ten ktoś, albo inna osoba, połączył to z agrestem. Nie pamiętam samej kuracji, jeśli jakaś w ogóle była; a mam wrażenie, że w ogóle mnie nie leczono. Że zakonnica była zadowolona, że „to wszystko” ze mnie wyszło i moje kłopoty się już skończyły. Wierzono wówczas, jak sądzę, że jeśli jakiś kawałek tasiemca został wewnątrz, to będzie on rósł i rósł, i rósł – ciągle i ciągle...

Nadal pracowałam w ogródku, ale nie kusiło mnie już próbowanie owoców. Ostatecznie to ciche lato musiało dobiec końca, a z następnych kilku miesięcy nie pozostało w mojej pamięci wiele wspomnień. Dla pozostałych dziewczynek musiała z pewnością rozpocząć się szkoła – jestem pewna, że sama nie dołączyłam do nich. Nie pamiętam także, czy nadal spotykałam się z moją grupą na zajęciach prowadzonych przez zakonnice. Chyba tak, bo przypominam sobie, jak siedzę w jadalni, która po kolacji zamieniała się w szkolną klasę, i odrabiam lekcje. W innych częściach sali dziewczynki grały w gry planszowe albo cicho rozmawiały. Na przedzie sali siedziała wszechobecna zakonnica, czytając coś w ciszy. Nie pamiętam, bym czytała coś poza tą salą i poza czasem wyznaczonym na lekturę. Może nie było na to czasu w ciągu dnia, a może książki nie były łatwo dostępne, ale mam wrażenie, że zdążyłam się już nauczyć

---

ALICE COLEMAN SCHELLING

dobrze wtapiać w otoczenie i nie chciałam, by widziano mnie, jak siedzę samotna, zatopiona w lekturze książki. Poza Łucją, którą pochłaniały żywoty świętych, rzadko widywałam kogokolwiek, kto czytał dla przyjemności.

Co jeszcze wydarzyło się tej jesieni? Ktoś musiał mi obciąć włosy, bo zostały mi krótkie i proste. Być może któraś z zakonnicy. Niekiedy odwiedzała mnie mama, ale jej wizyty były rzadkie, krótkie i smutne. Mama musiała już wówczas wcielić się w jakąś swoją nową osobowość i od pewnego czasu stała się narzeczoną tragicznie zmarłego polskiego oficera... Moja pamięć płata mi niekiedy figle, bo wydaje mi się, że mama odwiedzała także Agę i że widziałam Władzię, choć wzięwszy pod uwagę konieczność zachowania przez nie dyskrekcji, nie było to prawdopodobne.

Oto zatem ostatni epizod, jaki pamiętam i po którym na zawsze już opuściłam opiekuńcze gniazdo tych białych, nakrochmalonych skrzydeł, naszą malutką matkę przełożoną, Łucję i błogi spokój naszego ogrodu.

Nie pamiętam, co robiłam ani w której części budynku przebywałam w tym czasie. Moje wspomnienia zaczynają się od obrazu stojącej przy mnie zakonnicy.

– Chodź ze mną – powiedziała cicho, a ja wstałam bez słowa sprzeciwu. Kiedy szłyśmy pośpiesznie przez korytarz, w szybkich krokach siostry wyczuwałam napięcie. Dorównywałam jej kroku, myśląc, czy zrobiłam coś złego, czy może nieoczekiwanie przyszła mama, ale żadne z tych przypuszczeń tu nie pasowało i wraz ze smutkiem i niechęcią poczęłam ogarniać mnie mój stary, dobrze mi znany stan zamykania się w sobie, oczekiwania, strachu i otępienia. Szłyśmy w kierunku bramy budynku, przez którą, wydawałoby się, tak dawno temu szłam po raz pierwszy do naszej kaplicy i do biura Matki Przełożonej. Tym razem nie poszłyśmy jednak tak daleko. Zakonnica zatrzymała się

przy kaplicy i otworzyła drzwi. Przeszliśmy przez środek i przykleknęliśmy. Potem wstałyśmy i poszłyśmy uklęknąć przy ołtarzu.

– Musimy się modlić – szepnęła zakonnica i pochyliła głowę tak nisko, że czołem dotykała koniuszków złożonych dłoni. Nie widzę jej twarzy, bo oddzielają mnie od siostry skrzydła jej kornetu, a ja jestem już poza ich zasięgiem. Będę się modliła.

Chcę zapytać, o co mam się modlić, ale wiem, że tego nie zrobię. Bezwiednie, bo zawsze jestem wobec niej najśmielsza, powtarzam: „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą...”. Mówię modlitwę do końca i rozpoczynam: „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi, i poczęła z Ducha Świętego. Zdrowaś Maryjo... Oto ja służebnica Pańska...”. Potem zaczynam litanie do Niej. Chciałabym mieć teraz przy sobie różaniec, by łatwiej mi było się skoncentrować. Mówię „Ojcze nasz...” i potem znów litanie. Zaczynają mnie boleć kolana, ale zakonnica tkwi nieporuszona i nie śmiem wstać. Wyczuwam raczej niż słyszę, że raz jeszcze otwierają się drzwi kaplicy i szeleści habit wchodzącej zakonnicy. Siostra niesie walizkę. To moja walizka. Klęka teraz obok zakonnicy, która mnie tu przyprowadziła i żegna się. Dwie pary skrzydeł nachylają się ku sobie, spod jednej z nich dobiega szept. Wyteżam słuch, ale nic z tego. Druga zakonnica kreśli znak krzyża i wychodzi. Moja walizka zostaje. Próbuję przełknąć ślinę, ale zaschło mi w ustach. „Dlaczego?” – chcę zapytać, ale milczę. „Nieszczęście” – przemyka mi przez głowę, ale nie chcę jeszcze o tym wiedzieć. Jeszcze nie teraz, bo może za chwilę to już samo odejdzie. Wiem, że nie. Wiem, aczkolwiek nie umiałabym tego ująć takimi słowami, że coś pękło, jakaś zabezpieczająca membrana, że irracjonalny świat z zewnątrz wdarł się w ten racjonalny i uporządkowany świat zakonu. Czekam. Próbuję znów się modlić. Być może tak długo, jak będę się modliła, nie każą mi odejść...

---

ALICE COLEMAN SCHELLING

Jakiś czas później zakonnica spogląda na zegarek, wzdycha, rzuca okiem na ołtarz, żegnamy się obie i, przyklękając raz jeszcze, cicho wychodzimy z kaplicy. I z sierocińca.

To musi być jesień albo zima. Nie ma śniegu, ale ulice są szare, zimne, ponure i puste. Naprawdę są puste? Idziemy w milczeniu; siostra niesie moją walizkę; jest obok mnie, ale jednocześnie odległa i niema. Jestem sama. Jedyłą rzeczą, która nas jeszcze łączy, jest ta walizka, którą ona niesie. Mam pustkę w głowie. Nieśmiało pytam, dokąd idziemy.

– Musimy znaleźć twoją mamę – odpowiada zakonnica i na powrót milknie.

Po chwili ośmielam się zadać jeszcze jedno pytanie, ale siostra potrząsa nieznacznie głową i nic nie mówi.

Później, tak jakbym patrzyła na fotografię, widzę nas obie, jak siedzimy na schodach kamienicy, w której nadal mieszka moja mama. Widocznie nie ma nikogo w domu. Siedzimy skromnie na boku, żeby nikomu nie zagradzać drogi. Stopnie schodów są czyste, kamień chłodny, naprzeciw zakownicy stoi moja walizka, milczymy. Widzę też siebie, znieruchomiałą, jak wodzę oczami za ludźmi chodzącymi ulicą w nierealnym, zwolnionym tempie i szukam mamy. Ale mam nadzieję, że mama nie przyjdzie. Bo wiem, że lęk, jaki odmaluje się na jej twarzy, przeniknie nawet w głąb mojego odrętwienia, ochronnej przestrzeni mojego wnętrza. Bo dowiem się też, co się stało. A nie chcę ani jednego, ani drugiego.

Pojawia się mama. Patrzy na nas nierozumiejącym wzrokiem. Zakonnica wstaje, ja robię to samo. Mamy oczy są ogromne od strachu, twarz blada, a ja z lekkim zdumieniem spostrzegam, że na białej skórze pod oczami mama ma piegi. Usta mamy się poruszają, a ja staram się ocknąć z mojego zamyślenia. Mama, gestykulując, zaprasza zakon-

## ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE DRZWI

nicę, by weszła na górę, ale potem waha się i zmienia zdanie. Czytam bezbłędnie w jej myślach, wiem, dlaczego się cofnęła. Cokolwiek to jest, pani Dziunia Godycka, gdyby wróciła do domu, prawdopodobnie nie powinna o tym wiedzieć. Mama i zakonnica odchodzą na kilka kroków od wejścia, a ja idę za nimi. Mama o coś pyta, siostra patrzy na mnie i stara się mówić tak cicho, by jej głos nie dochodził do mnie, ale mama jest zatopiona w swoich myślach i zdaje się na to nie zważać, dlatego próbuję podejść jeszcze bliżej.

– Chodzi o Agę – mówi zakonnica ledwo słyszalnym głosem. A ja wytężam słuch. – Chodzi o Agę. Przyszli i ją zabrali.

– Kto? – szepcze mama, ale sama już wie.

– Gestapo – mówi zakonnica, niemal zanim jeszcze mama zapytała, i teraz nie potrafi już powstrzymać potoku słów:

– Gestapo. Przyszli i ją zabrali. Takie dziecko... zabrali ją.

Potem słyszę coś o Władzi, ale umyka mi cała reszta długiego zdania. Siostra mówi:

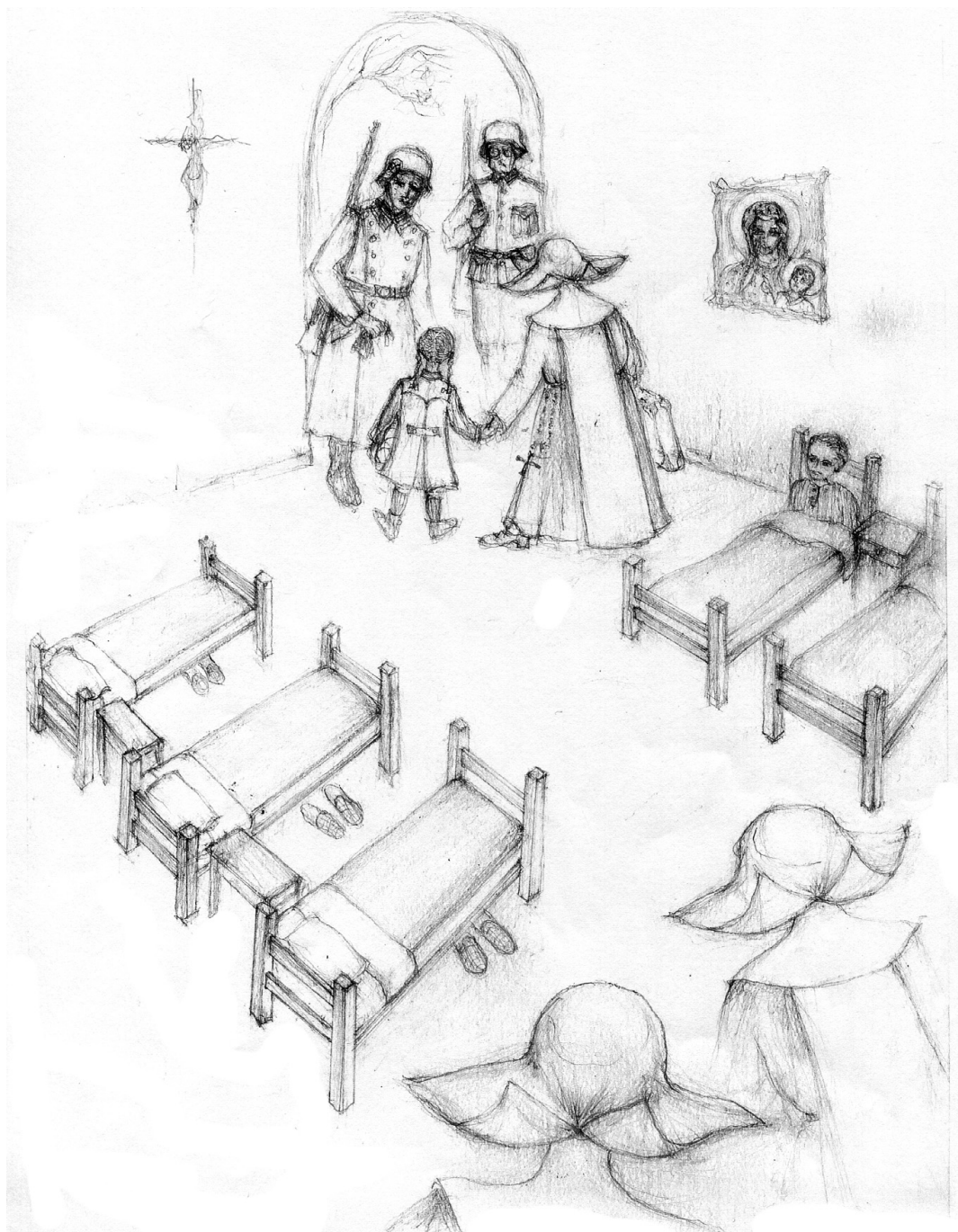
– Takie dziecko, a oni przyszli po nią, rośli mężczyźni... cóż mogliśmy zrobić, musiałyśmy powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałyśmy... z drugiej strony, któż może wiedzieć, co oni mogą zrobić; to dziecko może przecież coś wygadać i pomyślałyśmy, że powinnyśmy oddać pani Alinkę, zanim oni powrócą... czekałyśmy, kiedy sobie pójdą i zaraz tu przyszłyśmy... Niech Bóg ma ją w swojej opiece.

I pewniejszym głosem dodaje:

– Musimy zadbać o bezpieczeństwo innych...

– Dobry Boże, dobry Boże – szepcze mama, tak jakby już wszystko było stracone. Potem zbiera się w sobie, dziękuje zakonniczy w roztargnieniu, myślami jest już w przyszłości, co teraz robić, co robić?

ALICE COLEMAN SCHELLING



Aresztowanie Agusi (rys. E. Wittlin-Lipton)



## ALICJA PO DRUGIEJ STRONIE DRZWI

Potem zakonnica odwraca się do mnie. Bezwiednie wyciągam rękę i dygam w ukłonie. Mówi:

– Niech Bóg cię błogosławi, dziecko – i odchodzi. Mama podnosi z ziemi moją walizkę. Wchodzimy w zacień sieni i wspinamy się po schodach na górę.

I raz jeszcze z mojej pamięci wyparował ten czas. Nie mogę sobie przypomnieć, co działo się w następnych tygodniach, a może i miesiącach. Bo to nie mogło chyba trwać dłużej. W swojej książce ojciec tak pisze o wydaleniu mnie z sierocińca:

„Mamy teraz nowe nieszczęście. Jedna z siostr tego zakonu przyprowadziła Alinkę do żony, informując, że Agę, jej kuzynkę, zabrało gestapo. Zakonnice sądziły, że również Władzia została aresztowana i że po zatrzymaniu Agi pozostawanie Alinki w sierocińcu będzie niebezpieczne zarówno dla niej samej, jak i całej społeczności zakonnej. Później nadeszły wieści, że Władzia wyjechała do Krakowa, gdzie ktoś, kogo uważała za oddanego przyjaciela, wydał ją i doniósł wszystko o jej małej siostrze. Władzia została aresztowana i wysłana do krakowskiego getta”.

Nic mi o tym nie powiedziano. Moje nieśmiałe pytania zbywano, co zrozumiałe, wymijającymi odpowiedziami. Im mniej się wiedziało, tym mniej można było wyjawić. Dlatego w mojej wyobraźni Władzię i Agę pochłonęła ta sama czarna otchłań niepewności i przerażającej niepamięci, gdzie dołączyli do moich dziadków, do cioci Niny, Edka, mojej guwernantki i Jerzego.